

# LEON BROFELT



# AMULET

Leon Brofelt

# Amulet

czyli z diabłem przez stulecie

Czytało do samolotu na liniach transatlantyckich

© Copyright by Leon Brofelt & e-bookowo  
Projekt okładki i ilustracje: Armand Détraquè  
ISBN 978-83-7859-015-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Patronat medialny

**Twojakultura.pl**

*Wszelkie podobieństwo osób i zdarzeń  
do rzeczywistych nie jest przypadkowe.*

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2012

*Motto:*

*Wątpliwość nie jest przyjemnym stanem umysłu,  
pewność jest stanem śmiesznym.*

*F. Voltaire*

# 1.

Którejś wiosny, na początku XXI wieku spotkała mnie niezwykła przygoda. Z konsekwencjami, jak się wkrótce miało okazać.

Kto dużo podróżuje, wie doskonale, że znajomości zawierane w pociągu, samolocie, przy restauracyjnym stole, mają z reguły krótki żywot. Jeśli przetrwają nawet czas podróży, najczęściej kończą się po wymianie kilku zdawkowych pozdrowień na widokówce, lub – dziś częściej – po wymianie paru esemesów czy e-maili. Tym razem było inaczej. Z poznanym w samolocie mężczyzną utrzymuję nadal kontakt (bardzo kłopotliwy), ale co najciekawsze, obarczony zostałem zadaniem – za godziwym, przyznaję, wynagrodzeniem – opracowania i przygotowania do wydania jego wspomnień, a raczej autobiografii.

Pomny na złe doświadczenia, nie podjąłbym się takiej pracy, gdyby... gdyby nie zafascynowały mnie pewne drobiazgi w czasie pierwszej rozmowy. Pierwszej i przez długi czas jedynej odbytej oko w oko. Potem rozmawialiśmy kilkakrotnie telefonicznie, odebrałem też parę listów, takich klasycznych, pisanych ręcznie na zdobnym papierze i wysyłanych konwencjonalną pocztą, ale spotkać się ponownie, aż do pamiętnego dnia 1 listopada 2011, nie było nam dane. O tym jednak później.

Leciałem do Londynu z Łodzi korzystając z dogodnego połączenia, jak raz uruchomionego przez jednego z tak zwanych

tanich przewoźników. Gdy już się ulokowałem na swym ulubionym miejscu, tuż przy okienku bliżej tyłu samolotu (jestem namiętym obserwatorem chmur z tej drugiej ich strony i w ogóle lubię widzieć, co się na zewnątrz dzieje) usłyszałem wypowiedziane niskim głosem pytanie:

– Czy można koło pana?

Jasne, że wołałbym czuć koło siebie przez te niespełna dwie godziny lotu jakąś atrakcyjną dziewczynę, ale co mi tam.

– Oczywiście. Bardzo proszę.

Nie pofatygowałem się spojrzeć. Dopiero gdy pasażer siadał, usłyszałem dziwne skrzywienie. Wydobywało się z nogawki mojego sąsiada. Miał protezę. Jako inwalida powinien skorzystać z przywileju i wejść na pokład w pierwszej kolejności. Wtedy wchodziłby z przodu, zająłby miejsce wedle swobodnego wyboru, nie spotkalibyśmy się pewnie wcale. Znacznie później oświadczył, że nie ma zwyczaju korzystać, a tym bardziej nadużywać, swych praw do przywilejów. A miał ich kilka.

Tymczasem usiadł obok mnie mężczyzna postaci okazałej (dwa metry wzrostu) bynajmniej nie tęgi, ale – to się czuło – silnie zbudowany. Miał bujną, siwiuteńką czuprynę i spory, lekko garbaty nos. Emerytowany zapaśnik, tak mi się jakoś skojarzyło. Siwa głowa miło kontrastowała z naturalną czernią krzaczastych brwi. Starannie wygolony, pachnący umiarkowanie, ale wyraźnie, kosmetykiem dobrej klasy, ubrany był konwencjonalnie, jak przystało wiekowi – ciemne spodnie, jasna marynarka, bordowy krawat. W jakim był wieku? Ocenilem go na dobrze zakonserwowanego siedemdziesięciolatka. Pomyliłem się. Był znacznie starszy i o wiele lepiej „zakonserwowany”.

Nic, ani wygląd, ani głos, ani pewność ruchów nie zdradzały sędziwego wieku. Nawet na stewardesę popatrywał ze zgoła nie

starczym błyskiem dużych, sarnich oczu. Atoli wszystkie te obserwacje poczyniłem nieco później. Zrazu ignorowałem jego obecność. Dopiero po starcie – co swoim zwyczajem uważnie obserwowałem – po wzniesieniu się ponad umiarkowanie gęste tego dnia obłoki, zainteresowałem się z należąną dyskrecją sąsiadem. Kartkował kolorowy, obcojęzyczny magazyn.

Widocznie jakimś ukrytym zmysłem wyczuł, że zwróciłem nań uwagę, może nawet czekał na to, bo spojrział na mnie z życzliwym uśmiechem.

– Pan pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Dawid Schatz. Lecę do Londynu, powiedzmy, że w celach turystycznych. Proponuję drinka, nie odmówi pan, prawda? To dobrze robi na tych wysokościach. Pani Gosiu – zwrócił się do stewardesy akurat pchającej swój wózek obok nas i mającej przypiętą do fartuszka sporą plakietkę z napisem: Małgorzata Jakaśtam. – Zechce nam pani podać szkocką. Podwójną.

Wzrok też miał zgoła nie starczy.

Sumitowałem się słabo i bez przekonania. Miałem ochotę. Miałem też wieczne kłopoty z gotówką. Wymieniłem swoje nazwisko:

– Leon Brofelt. Ja z przyjacielską wizytą do Oxfordu. Trzy godziny autobusem z lotniska.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego wielka, sucha i muskularna ręka w żadnym razie nie zdradzała wieku, a siła uścisku bardziej przypominała wymoszczone szlachetną skórą imadło niż starczą słabość.

Sączyliśmy tedy trunek (była powtórka, a jakże) i gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Ot takie sobie niezobowiązujące pogawarki przygodnych pasażerów. Snadź wygadałem się, że mam coś wspólnego z dziennikarstwem (i pewnie też o tym, że

klepię biedę) bo naraz zagadnął jakby innym tonem. Byliśmy już nad holenderskim wybrzeżem.

– Miałbym dla pana propozycję, chyba intratną.

Nadstawiłem ucha.

– Mam przy sobie brulion notatek. Mam też sporo lat na karku. Odejdę i nikt się nie dowie, co mnie w życiu spotkało, a myślę, że byłoby to ze szkodą. Jednak cuda się zdarzają. Gdyby zechciał pan rzucić na to okiem, uporządkować, może nawet opublikować. Co?

Przyznaję, że mnie zmroził. Próbowałem niegdyś świadczyć tego typu usługi z bardzo złym skutkiem. Mania pisarska ogarniająca pewien typ emerytów nie dość, że daje nudne, banalne opowiadania, to na domiar złego, autorzy tych wynurzeń są tak zakochani w swych tekstach, że za żadne skarby nie chcą się godzić na zmiany. Nie pomagają perswazje, dowodzenie słuszności. Nawet do jawnych, gramatycznych błędów (nie wspominając o stylu) tak bywają przywiązani, że gotowi się obrazić za każdą ingerencję. Kilkakrotnie skończyło się awanturą i zerwaniem umowy.

– Co innego rzucić okiem, co innego redagować – zacząłem ostrożnie. Fakt, że za napitek wręczył Gosi banknot grubo za wiele wart z takim gestem, że dziewczynie nie pozostało nic innego jak słodko się uśmiechnąć i podziękować, co też uczyniła, a co nie uszło mej uwadze i – wstyd się przyznać – osłabiło znacznie moją awersję do emeryckiej grafomanii.

– Zjemy kolację na lotnisku. Zechce pan poświęcić mi przy tym godzinę i wszystko ustalimy. Proszę się nie obawiać, moje notatki to surowy materiał. To tylko spisane fakty. Co pan z tego zrobi, to już pańska sprawa i mnie nic do tego. Proszę tylko o wierność faktom, co jest zrozumiałe samo przez się.



Wyczuł moje obawy, czy co? Chyba tak. Samolot, który wyraźnie już zniżał lot zachwiał się nagle, zatrząsł. Lampki się zapaliły. Wcisnąłem się głębiej w fotel i dociągnąłem pas. Czyżby uznał, że się boję?

– Ze mną nic się złego nie stanie, ani z samolotem, ani nikomu w nim. Proszę mi wierzyć. Mam to.

Wyciągnął przy tym spod koszuli okazały naszyjnik, dotąd zupełnie pod krawatem niewidoczny i przysuwając się do mnie pokazał go na dłoni. – O tym piszę i o dybuku, który we mnie siedzi.

Mówił to głosem pewnym, poważnie, bez cienia ironii. Schował swój naszyjnik, poprawił koszulę i podobnie jak ja, wcisnął się głębiej w fotel. Nie rozmawialiśmy, aż maszyna przyziemiała. Zresztą, wspomniany wstrząs samolotu już się nie powtórzył, gładko i płynnie siedliśmy na betonie lotniska.

Dziarsko kroczył poskrzypując protezą. Utykał widocznie, ale snadź nie sprawiało mu to wielkiej fatygi, bo dorównywał mi w tempie marszu bez widocznego wysiłku. Z samolotu do hali na lotnisku w Stansted jest dość daleko, a nie z każdego stanowiska dowozi pasażerów słynna, bezzałogowa kolejka. Kontrola dokumentów przebiegła sprawnie i szybko, bagażu nie mieliśmy (Dawid Schatz taszczył tylko niewielki nesesor, a ja mały plecak), więc po chwili znaleźliśmy się przed restauracją.

– Proszę się niczym nie krępować. Cała przyjemność po mojej stronie.

Co zjedliśmy i jak nam smakowało, to zupełnie nieistotne. Po posiłku wydobył ponownie spod koszuli swój naszyjnik ze słowami:

– To chyba sprawca wszelkich moich przygód. Tych dobrych, jak myślę, bo o tych złych opowiem później. To kamień pochodzący z Bhutanu, jak pan widzi noszę go na rzemyku i to już od siedemdziesięciu lat, dokładnie od 1943 roku. Wiosną owego roku wybrałem się z dziadkiem na majówkę w niedzielny, słoneczny ranek. A musi pan wiedzieć, że mieszkaliśmy wówczas z dziadkami w Katowicach. Pojechaliśmy rowerem. Ja na ramie, dziadek posapując, pracowicie pedałowal. Przejechaliśmy przez Szopienice i tam, za ostatnimi zabudowaniami, skręciliśmy z drogi nad jedno z kilku jeziorzek oddzielających Szopienice od Sosnowca. W nadwodnych zaroślach zostawiliśmy rower i rozsiedliśmy się w słońcu. Dziadek był niespokojny, rozglądał się, wstawał i dreptał na pobliski pagórek. Ja bawiłem się patykami puszczanymi na wodę. Tak bardzo zająłem się zabawą, że nie zauważyłem zniknięcia dziadka. Kiedy spostrzegłem, że jestem sam, zaniepokojony pokuśtykałem ku wzniesieniu. Dlaczego mówię, że pokuśtykałem? Bo nosiłem wtedy but ortopedyczny. – Postukał się przy tym w lewe udo. – Mam mikromelię, albo coś podobnego, lekarze nigdy nie byli zgodni co to właściwie jest. Ze wzgórzka zobaczyłem dziadka w uścisku z jakimś mężczyzną. Szli objęci w moim kierunku.

– Wujek Fredek! – wrzasnąłem ucieszony, że wreszcie, choć w części, marzenia moje się spełniają. Kto wie czy ojciec nie kryje się za krzakami? Ojca nie wiedziałem już od kilku lat, wuja od wybuchu wojny.

– Nie drzyj się pierunie! – przywołał mnie dziadek do porządku. Od razu pojąłem, że spotkanie z wujem będzie naszą tajemnicą. Jak za dawnych lat przylgnąłem do wuja. Lubiliśmy się. Imponował mi niegdyś mundurem, armatami, którymi podczas wizyt w pułku pozwalał się bawić, całą tajemniczą surowością koszar, po których oprowadzał. Zawsze był wesoły, dowcipkujący, serdeczny. Ubrany w zwykłe, cywilne ciuchy,

raczej biedne, wyglądał mniej okazale. Szczupły był zawsze, teraz wręcz chudy. Za to ja – w jego oczach – wyrosłem i zmężniałem. Przyglądał mi się uważnie.

– Bardzo podobny do ojca – powiedział z troską.

– Dlaczego z troską? – wtrąciłem się dość obcesowo w opowiadanie Schatza spoglądając przy tym na zegarek. Czekala mnie wszak jeszcze daleka droga do Oxfordu.

– Proszę mi się przyjrzeć. Wyglądam przecież bardzo semicko. Ojciec był Żydem i przekazał mi urodę.

Byłem tego podobieństwa świadomy i wtedy z niego dumny. Zupełnie nie pojmowałem skąd troska w głosie wuja. Uświadomiono mi to niebawem. W innej wszelako sprawie moja piętnastoletnia świadomość nadążała. Na uwagę wuja, żeby spotkanie zachować w ścisłej tajemnicy, jedynie wydałem wargi.

– To oczywiste! – powiedziałem. Przesiedzieliśmy i przegadaliśmy do popołudnia. Wuj Alfred wypytywał o wszystko, o sobie mówił niewiele. Uszanowaliśmy konieczność dyskrecji.

– Do domu nie przyjadę. Nie wolno. Dokumenty mam dobre, ale bardziej niż dziś do Katowic się nie zbliżę. Spotkamy się tu za dwie niedziele.

Zapamiętałem z rozmowy o rodzinie między innymi to, że wuj Alfred wyrażał się o bracie bez szczególnego wstrętu (to drugi z synów dziadków Dawida Schatza, o którym przy innej okazji opowiem więcej), aczkolwiek do naszej tajemnicy radził go nie dopuszczać. Zaczynaliśmy się zwolna szykować do rozstania. Dziadek pompował koło w rowerze, a wuj objąwszy mnie odprowadził na stronę.

– Mam specjalne zadanie dla ciebie – zaczął – Jesteś już prawie mężczyzną i wiele rozumiesz. Póki szkopy tu są, ojciec wrócić nie może. Ani wy do niego wyjechać nie możecie – kluczyl. – Chcesz pomagać w wygnaniu szkopów?

– Pewnie! – odpowiedziałem butnie.

– A wiesz, że to nie zabawa? Wiesz co się stanie, jeśli ktoś niepowołany dowie się o naszym spotkaniu?

– Aha – odpowiedziałem niepewnie. Z grubsza wiedziałem to i owo, bo mój chrzestny ojciec, czyli ten drugi wuj, panie Brofelt, specjalnie się nie krępował i opowiadał w domu wiele o tym, czego w swej służbie się dowiadywał.

– Uważaj na siebie! Chcę abyś mi pomógł. Będziesz łącznikiem. Rób tylko to, co będzie ci zlecone. O nic nie pytaj. Masz tu przesyłkę, schowaj dobrze i oddaj w aptecce panu prowizorowi (tu wuj podał nazwisko i adres apteki). Tylko jemu – dodał z naciskiem. – Powiesz tak: "Ciocia oddaje to lekarstwo, już jej nie będzie potrzebne, wyzdrowiała. Za to babcia czeka na swoje". Zapamiętałeś?

– No pewnie! – powtórzyłem dokładnie adres, nazwisko i hasło.

– Wobec tego schowaj. – Dał mi wreszcie dwa niewielkie pudełka z jakimiś farmaceutykami. Były opakowane, jakby prosto z fabryki.

– Prowizor najpewniej da ci inne i powie komu zanieść. Rozumiesz?

– No pewnie! – powtórzyłem raz jeszcze.

Byłem dumny z wyróżnienia, z zaufania, ze wszystkiego.

Zadanie swoje wypełniałem gorliwie unikając zbędnych pytań. Niebawem krąg, po którym się poruszałem, znacznie się rozszerzył. Wtedy, latem 43 roku sprawiono mi pierwsze kule. Musiałem dużo chodzić. Jakiś czas potem dostałem zadanie – ciągle były to farmaceutyki – o wiele kłopotliwsze. Musiałem jeździć, bo miejsca odwiedzin stawały się od siebie coraz bardziej odległe. Zaczynałem w Czeladzi, od Katowic to ledwie kilka kilometrów, ale dla chłopaka o kulach – problem. Wracałem do domu i dopiero następnego dnia wyprawiałem się do Chrzanowa (wtedy Krenau). Kawał drogi. Odbiorcą był lekarz w miejscowym szpitalu. Nosił nazwisko o czysto germańskim brzmieniu i literkę "P" na kitlu. Ten właśnie młody lekarz, który przeżył okupację i z czasem dorobił się w PRL tytułów i splendorów, pomógł mi w kłopotach, które przyszły wraz z władzą ludową.

Tymczasem kursowałem na tej trasie co dwa tygodnie. Powoli stawało się rutyną, co do niedawna powodowało dreszcz emocji. W czasie jednej z wizyt w Chrzanowie – ostatniej, jak się wkrótce okazało – miałem osobliwą przygodę, na którą zrazu nie zwróciłem uwagi i zapomniałem o zdarzeniu. Ślady po niej szybko zostały zatarte przez czas i wymogi konspiracji. Sprawa została tajemnicza. Kto wie, czy wszystko nie zaczęło się właśnie w tym dniu?

Lekarz, który przyjmował ode mnie opakowania z „lekarstwami” i dawał mi w zamian inne, przywykł już był do mojej osoby. Przyjmował i odprowadzał ze swobodą, zażyłością nawet. Zaprosił mnie na skromny poczęstunek do swojego gabinetu. Było to ryzykowne z dwóch powodów: po pierwsze, gabinet był urządzony w samym środku oddziału chorób zakaźnych, po drugie, dokonywał w ten sposób jawnej dekonspiracji. Bywało bowiem, że upychał tam niezupełnie legalnych pacjentów. Tabliczka ostrzegająca, że leżą tu zakażeni pełniła rolę zapory

przed wścibskimi, niemniej lepiej było losu nie kusić. Tego jesiennego dnia też miał tam pacjenta, o którym władze okupacyjne w żadnym wypadku nie powinny wiedzieć. Człowiek ten, cały w bandażach z niewielkim tylko otworem na oczy i usta, na mój widok przemówił. Wypowiedział głosem cichym i obolałym kilka słów w niezrozumiałym dla mnie języku. Mówił to z taką intonacją, jakby czegoś się przeraził. Rozejrzałem się bezradnie. Chciałem zareagować, ale niczego nie rozumiałem. Byłem sam z obłożnie chorym cudzoziemcem, który czymś przejęty, wyjękiwał swoje poruszenie w egzotycznym dla mnie języku. Wreszcie, z za prowizorycznego przepierzenia wysunął się lekarz. Natychmiast zwróciłem jego uwagę na nieszczęsną kupę bandaży leżącą w kącie.

– Panie doktorze, ten chory czegoś potrzebuje. On mnie przywoływał, ale ja niczego nie rozumiem. Czy on się mnie boi?

Lekarz pochylił się nad cierpiącym. Zagadał po angielsku. Wtedy nie znałem tego języka, mimo to było dla mnie oczywiste, że chory do mnie po angielsku nie mówił.

– Biedak majaczy. Stan beznadziejny, to agonia. – powiedział lekarz. Chory ponownie wysilił głos. Doktor pochylił się nad nim raz jeszcze, tym razem na dłużej.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem? – Doktor powiedział to prostując się i bezradnie rozkładając ręce. – On kona. Prosi, aby dać ci jego amulet. Twierdzi, że to będzie cię chronić przed demonem, którego w tobie zobaczył. Oczywiście dam ci ten wisiołek. Ostatnia wola umierającego, nawet niedorzeczna, powinna być spełniona. Biedny chłopak. – Powiedział lekarz i pochylił się nad szufladą niewielkiego biurka. Za moment wręczył mi ciężki przedmiot wykonany z materii przypominającej po trosze metal, po trosze kamień, przytwierdzony do

rzemiennej pętelki służącej do zawieszenia na piersi.. Położył go przede mną.

– To to, to właśnie to! – Dawid Schatz znów, już po raz trzeci tego dnia, podsunął mi pod nos swój skarb. Skorzystałem z okazji, żeby przerwać wartki potok wymowy mego przygodnego znajomego i dać mu jasno do zrozumienia, że na mnie już czas. Autobus do Oxfordu odjeżdża za kwadrans.

– Panie Leonie, niechże pan nie żartuje! Za dwie godziny będzie następny. Przecież jeszcze nie skończyliśmy. Przyjacieli poczeka, a tu, czuję to, rozstrzygają się ważne rzeczy. Przed wszystkim całkiem dobre źródło zarobku dla pana, a dla mnie ulga. Poza tym mamy jeszcze do skończenia piwo.

Rzeczywiście. Mocny trunek w samolocie, kolacja i piwo robiły już swoje. Wsiadanie do autobusu teraz właśnie nie było najmądrzejszym pomysłem. Trudno. Musiałem ustąpić. Schatz tymczasem odnalazł stracony na moment wątek i ciągnął dalej kwestię owego lekarza.

– Dwa dni temu fatalnie skończyła się próba lądowania łącznika. Samolot rozbił się i spłonął. To chłopak z załogi. Jest tak poparzony, że trudno z całą pewnością stwierdzić, ale to chyba Azjata. – Powiedział doktor lekceważąc wszelkie zasady konspiracji. Snadź uznał mnie za całkowicie pewnego partnera. Chory w bandażach tymczasem przestał jęczeć.

Wziąłem amulet i schowałem do kieszeni. Wieszanie go na szyi wydało mi się nazbyt kłopotliwe, choćby z uwagi na ciepłe, zimowe już ubranie. Na demona w sobie, jako się rzekło, uwagi nie zwróciłem. Byłem ciągle nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców, cudownie wolnych od wszelkich wierzeń.

Wróciłem do domu. Od swego „kontaktu” w Katowicach dowiedziałem się nazajutrz, że ten kierunek moich peregryna-

cji jest czasowo zawieszony. Z doktorem z Chrzanowa skontaktowałem się dopiero po wojnie.

Tymczasem amulet, obejrzany dokładnie w domu, spodobał mi się z przyczyn wyłącznie estetycznych. Postanowiłem go nosić. Od tego dnia przy niektórych ruchach coś ciężkiego obija się o moje piersi. I działa. Przekonałem się o tym wielokrotnie. Oto tu – Schatz oparł swój nesesor o blat stolika, otworzył i wyciągnął zeń spory zeszyt dużego formatu – ma pan wszystko po kolei opisane.

Wziąłem zeszyt i szybko przerzuciłem kartki. Niemal cały był zapisany drobnym, starannym pismem z niewielką ilością skreśleń i poprawek. Oczywiście wtedy nie przeczytałem dokładnie nawet jednego zdania. W autobusie też nie, bo zapadł już zmierzch. U przyjaciół w Oxfordzie nie miałem zupełnie do lektury nastroju, choć powinienem był z uwagi na kontekst, jaki towarzyszył wejściu przeze mnie w posiadanie tych notatek. Kontekst był bowiem dla mnie niezwykle przyjemny.

– Panie Leonie, jak znam życie, będzie pan dociekać, czy czasem nie łżę. Ta dociekliwość pogna pana w różne miejsca, a to kosztuje. Nie chcę teraz przesądzać, ile to mnie będzie kosztować. Po prostu wystawi mi pan rachunek po skończonej pracy i tyle. A teraz zaliczka.

Mówiąc to sięgnął do kieszeni i wręczył mi kopertę. Zerknąłem ciekawie. Nie napiszę, ile tego było. W każdym razie sporo, w solidnej amerykańskiej walucie. Miał to jakby przygotowane. Dziwne.

– Czy pan nie przesadza? – wachlowałem się kopertą w towarzystwie tak zwanych mieszanych uczuć.

– Będą niższe koszta, to mniej dopłacę później. Mniejsza z tym. Teraz inne ważne sprawy. Gdzie pana szukać?



Podalem swoją wizytówkę. Na niej poza imieniem i nazwiskiem był adres e-mail i telefon komórkowy. Tylko.

– Na jaki adres mam wysyłać korespondencję?

– O, na ten – zatrzymałem paznokiec na znaku @.

– Dobrze, dobrze. To nie dla mnie. Nie nauczyłem się korzystać z tych wynalazków i nic nie wskazuje na to, żebym się miał nauczyć. Proszę podać prawdziwy adres, miasto, ulica, numer domu i tak dalej.

Wyciągnąłem drugą wizytówkę, i długopisem napisałem na odwrocie co trzeba.

Przyglądał się chwilę w milczeniu mojemu adresowi.

– Tam pan mieszka?

– Tam. Choć przyznaję, podróżuję wiele. W Szwecji ostatnio bywam nie dłużej niż trzy, cztery miesiące w roku, ale doprawdy innego adresu podać nie potrafię, nie mam.

– Ha, to tak jak ja. To mój adres. I telefon.

Zamaszyście naskrobał na kartoniku: Łódź, podał nazwę ulicy i numer domu. I numer telefonu w Łodzi. Stacjonarnego. W tym momencie w mojej kieszeni zabrzączał delikatnie dzwonek.

– Przepraszam.

Odebrałem. To przyjaciele już się niepokoiли, czy szczęśliwie wylądowałem.

Dawid Schatz patrzył z niesmakiem na moją komórkę.

– Czy zdarzyło się panu, że toto zadzwoni w odpowiednim momencie? Przez krótki czas też miałem. Dałem się namówić na to paskudztwo. Zawsze dzwoni, albo gdy jestem w kąpieli,

albo przy posiłku, albo w toalecie, albo... Nie, nie, to nie dla mnie.

W taki oto sposób korespondencję od Dawida Schatza otrzymywałem ze zrozumiałym, znacznym opóźnieniem. Zanim mój współlokator w Göteborgu skontaktował się ze mną, i albo dosyłał na jakiś inny adres, albo zostawiał w spokoju do mojego przyjazdu, mijały tygodnie. Moje nieliczne listy też leżały w Łodzi miesiącami. Łódzki telefon milczał. Schatz, tak jak ja, był niepoprawnym powsinogą, tak jak ja miał dwa paszporty. I jest przy tym upartym konserwatystą jeśli chodzi o Internet. Dlatego napisałem, że kontakt z moim dziwnym pracodawcą był kłopotliwy. Czasem wykręcał mój numer i mówił, mówił, mówił, aż ręka mi cierpła, albo bateria się rozładowywała. Po raz ostatni zadzwonił wieczorem w dniu Wszystkich Świętych 2011 roku z Warszawy.

– Halo, to ja, Dawid Schatz. Właśnie dotarłem do hotelu. Ale, ale, czy już pan słyszał, co się stało? Znakomitych mamy w Polsce pilotów, prawda? Nic nie ujmuje kapitanowi Wronie, ale gdyby mnie nie było na pokładzie ciekawy jestem, jak by sobie poradził?

Potem długo, niestety znacznie rozwlekłej niż dotąd, opowiadał o swoich losach. Po tej rozmowie doszedłem do wniosku, że już najwyższy czas przedstawić mu skończoną pracę i wystawić rachunek.

Zastał mnie w kraju, więc z podróżą do stolicy nie było kłopotów.

## Od autora

*Na tym wypada skończyć historię mego przygodnego znajomego. Aczkolwiek od naszego spotkania w samolocie minęło kilka lat, to nic ciekawego nie wydarzyło się przez ten czas, w każdym razie nic, co miałoby bezpośredni związek z amuletem i demonem. Dawid Schatz nie zmienił trybu życia, upodobań i dziwactw. Włóczył się po świecie jak dotychczas, jeździł, latał, słowem podróżował, wydając beztrząsowo ogromne sumy. Jak dotąd czynił to bez wyraźnego celu i bez manifestowania swego bogactwa. Zasadniczo mieszkał w Łodzi i pod Nowym Jorkiem, dokąd wrócił z Zachodniego Wybrzeża.*

*Swoje przygody opowiedziane przeze mnie przyjął do akceptującej wiadomości. Nie wyraził szczególnego entuzjazmu po lekturze, ale też nie protestował, ani żądał poprawek. Po prostu pokiwał głową i skrzętnie wypłacił godziwe, jako się rzekło, honorarium. Dopiero po dokonaniu tej formalności, jakże dla mnie miłej, rozluźnił się wyraźnie i rozgadał. Opowiadał wiele. Zapewne dałoby się z tego skonstruować co najmniej kilka ciekawych historii, ale byłyby już na zupełnie inny temat. Nie zostałem upoważniony do ich spisania.*

*Czy to, co zostało opowiedziane zasługuje na wiarę? Czy rzeczywiście w osobie Dawida Schatza zagnieździł się przewrotny demon? Czy amulet otrzymany niegdyś z rąk konającego alianckiego pilota miał tak ogromną moc? Nie wiem. Wiem tylko, że wszystko, co było mi dostępne, sprawdziłem. Rzeczywiście los Krajowej Loterii Pieniężnej tego roku wykupiony w tej właśnie kolekturze nosił taki właśnie numer, że w tym czasie we Włoszech..., że „Karolinka”..., że gonitwa na Służewcu i tak dalej i dalej. Wszystko się zgadza. Łatwo można sprawdzić.*

*Powodzenia*

*Leon Brofelt*